NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30. Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. W Austryi: Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. W Niemczech: Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. | Kraków, 12 kwietnia 1919. | Nr. 15.

Spisz i Orawa dla Polski.



1) Podwórze obejścia góralskiego na Spiszu. 2) Zabudowania gospodarskie we wsi Orawskiej. 3) Dziewczęta góralskie ze Spiszu. 4) Typ górala z Orawy. 5) Praca w zimie na Orawie. 6) Katolicki kościół na Spiszu w M. Hnilcu.

Spisz i Orawa dla Polski.



Spisz i Orawa dla Polski: Typy górali ze Spisza

Sprawa Spisza i Orawy jest dla nas — niestety dla nas — kwestyą ostatnich dopiero lat, ale co więcej, ostatnich dopiero tygodni nawet. Bo to czasy tak świeże, kiedy grom najazdu czeskiego uderzył w pierś i wstrząsnął podwalinami całej Polski, dając świadectwo tej bolesnej i wiecznej prawdzie, że w nas czyn trzeba budzić gromami.

Dotychczas mało wiedziano o tem, że istnieje zabór czwarty obejmujący przecie z górą 150 tysięcy ludu polskiego, tylko wierchami Tatr i obojętnością odrąbanego od macierzy, zajmujący jednak nie strzęp, ale najpiękniejszą połać naszych gór. Tak jest — mówi się o kordonie rzuconym między nami, a nimi, o zbytniem przeczuleniu władz węgierskich piętrzących nadzwyczajne trudności z powodu urojonej agitacyi panslawistycznej — to prawda, żandarm stał na straży, ale i obojętność nasza stała... A przecie tam tęskniono za polską ziemią i chowano ojczystą mowę jako skarb, tak jak Chełmszczyzna chowała religię w sercach, o czem łatwo przekona się ten, kto zajrzy i trochę pogrzebie w tych duszach i przemówi po polsku. Gdzieniegdzie potknie się o wyspę już całkowicie słowacką, ale tylko o wyspę i to jedynie dzięki ogromnie zapobiegliwemu ruchowi, popartemu przez Czechów i dziwnej naszej kurtuazyi wobec obcych uroszczeń.

Stosunki spisko-orawskie przedstawiały się przez długi czas w bardzo przykrem oświetleniu. Nasz tamtejszy lud żył pod pręgieżem wpływów czesko-słowackich nie uznawających za Tatrami narodowości polskiej — mimo, że urzędowe konskrypcye jeszcze w XVIII wieku znały się lepiej na etnografii — prowadzących systematyczną zaborczą politykę. Silny wpływ wywierali tu Słowacy, którzy jednak z trudnością wmawiali w naszych górali, że nie są Polakami, ale „Słowioki". Usiłowania ich ułatwiał brak szkoły i kościoła polskiego, zmuszający lud do mowy, a nawet pacierza słowackiego, tak, że wkrótce polski, ojcowie wzięli ze sobą do grobu. I zdawało się, że życie tu płynie spokojnie, dalej ot z dnia na dzień, jak to słońce co wstaje z za gór, rozbija się w tysiącach kryształów o śnieżne skrzyska, albo rozperla w tęczę na spienionym strumyku. Ale to nie była martwota... Posłuchajmy tych słów twardych i z duszy-serca płynących, które witały agitacyjną książeczkę „Co my za jedni?", a przekonamy się, że krew krążyła mocno i to krew polska.



Spisz i Orawa dla Polski: Sławne zamki orawskie



Spisz i Orawa dla Polski: Piękność wiejska ze Spisza.



Spisz i Orawa dla Polski: Wnętrze chaty góralskiej na Orawie.

Przeciw wspomnianej książeczce Słowacy rozrzucili po wsiach swoją o tendencyi panslawistycznej, gdy równocześnie jeden z proboszczów orawskich użył prasy węgierskiej celem skruszenia podstaw polskiego ruchu. Ożywiona agitacya niewiele jednak pomagała, nasz zatatrzański góral zachował mowę i poczucie przynależności do Polski mimo często braku jeszcze uświadomienia narodowego, jakkolwiek praca w tym kierunku właśnie przez siłę pol-

skiego słowa ma tam podkład nadzwyczaj podatny, na co wskazuje owocny trud pierwszego misyonarza ducha polskiego ks. Czechowicza. Zresztą dużo tu robi poczucie zwartości etnicznej z Podhalem jaskrawo wpadającej w oczy i strojem i obyczajami, nie mówiąc już o mowie. Kiedyś „Narodni listy“



Spisz i Orawa dla Polski: Typy wiejskie z Orawy.

oburzały się, że „Słowaków należących naukowo i urzędowo do pnia czeskiego“ grabi się na rzecz Polski. Znamy, aż nadto dobrze humorystyczny aneksyonizm czeski, ale niewolno nam z szerokim gestem traktować wypadków; musi się podnieść z wygodnego kącika osobistych wymagań do granitowej pracy, nie zapominając o tem, że jak Kaszubi uratowali nam szmat nadbrzeża morskiego od krzyżackiej chciwości, tak Spisz i Orawa uratowały nam naszą odtysiącletnią, „niewątpliwie“ naszą Szwajcaryę.



Wojsko polskie we Włoszech: Defilada pułku im. Dąbrówskiego przed szefem misyi wojskowej ks L. Radziwiłłem w Santa Marca pod Neapolem.

Uroczystości Kościuszkowskie w kraju.

Rocznica przysięgi Tadeusza Kościuszki, pierwsza w wolnej Polsce uczczona została uroczyście przez cały kraj. Ze wszystkich stron nadchodzą wiadomości o wielkich manifestacyach.

Wspaniale uczciło rocznicę miasto Nowy Sącz. Niedzielnym rankiem w dniu 23 marca przeciągająca ulicami miasta muzyka I. pułku strzelców podhalańskich, odegraniem pobudki przypomniała mieszkańcom rocznicę przysięgi. Około godz. 9 przed południem ogromny plac ćwiczeń w koszarach strzelców podhalańskich zapełnił się załogą, przedstawicielstwem władz i urzędów, instytucyi i stowarzyszeń, młodzieżą szkolną i liczną publicznością, wśród której kraśniały włościańskie stroje. Przy pięknie ozdobionym ołtarzu w biel, amarant i zieleń, Mszę polową odprawił kapelan I. pułku strzelców podhalańskich, ksiądz Miodoński. Podczas ewangelii żołnierskim zwyczajem korpus oficerski do połowy dobył szabel z pochew, żołnierze stanęli na „baczność“, a baon honorowy sprezentował broń i dał trzykrotną salwę, orkiestra odegrała hymn „Jeszcze Polska“. Kazanie okolicznościowe wygłosił ks. Dr. Cierniak.

Po Mszy św. ruszono pochodem głównemi ulicami miasta pod „Zamek“. Przodem kroczyła muzyka strzelców podhalańskich, baon honorowy



Uroczystość imienin Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego w Nowym Targu.



Z życia Podhala: Przemówienie pułkownika Galicy na Galicowej Grapie koło Poronina w rocznicę powstania Chochołowskiego.





Salwa honorowa oddziałów warszawskich. **Uroczystości Kościuszkowskie w kraju:** Defilada załogi warszawskiej.

w pełnem uzbrojeniu pod komendą kapitana Jakubiczki. Wyróżniały się w pochodzie konna banderya biegonickich włościan w malowniczych strojach i kobiety wiejskie, tworzące oddzielną grupę. Z pod prastarych murów zamku Jagiellonów, położonego hen wysoko nad szumiącym Dunajcem do kilkunastu tysięcznej rzeszy, zebranej u stóp zamku, przemówił porucznik prof. Socha, imieniem Komitetu obchodowego „Uniwersytetu żołnierskiego", zaś imieniem miasta radny Dr. Sichrawa.

Około południa zakończyła się pierwsza część uroczystego obchodu. Część dalsza w poniedziałek 24 i wtorek 25 marca. Od soboty 22 po południu budynki publiczne i prywatne przybrano chorągwiami, w oknach nalepki z podobizną Kościuszki Po ulicach kwesta pań na rzecz żołnierzy z 1863 roku i żołnierzy legionistów, inwalidów, wdowy i sieroty z ostatniej wojny.

Bardzo uroczyście obchodziła rocznicę Kościuszki Warszawa. W manifestacyach brał udział zarówno rząd jak i bawiące w mieście misye aliantów oraz ogromne tłumy publiczności. Przedstawiciele obywatelstwa złożyli dar 180 000 Mk. na wystawienie w Warszawie pomnika Tadeusza Kościuszki.



Wojsko polskie we Włoszech: Wycieczka oficerów polskich, bawiąca w Neapolu, pod wodzą kapitana M. Dienstl. Dąbrowy.



Lwów w ogniu: Pułk Zygmunt Jastrzębiec Strzelecki.

W obronie Lwowa.

Wśród ochotników, spieszących na odsiecz Lwowa w listopadzie 1918 r., zajęła zaszczytne miejsce kompania studencka 5 go pułku piechoty. Byli w niej przeważnie uczniowie obu gimnazyów rzeszowskich z trzech klas najwyższych. Chociaż ani wiekiem ani przygotowaniem wojskowem nie nadawali się do takiej walki, uderzyli w listopadzie na Ukraińców na rogatkach Lwowa i chlubnie, bo zwycięsko przebyli chrzest bojowy. Niestety, czterej polegli, a pięciu odniosło ciężkie rany.

Rycina nasza przedstawia tych 24 wychowanków gimnazyum I. w Rzeszowie, którzy po dwóch miesiącach pobytu w rowach pod Lwowem wrócili w styczniu 1919 r. na ławę szkolną.



Uroczystości Kościuszkowskie w kraju: Artylerya polska na ulicach Warszawy.



Lwów w ogniu: Pogrzeb ś. p. Kazimierza Winnickiego.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

85

— Ach! to pani, panno Julio... Przepraszam, doprawdy nie zauważyłam... Ale jak pani świetnie wygląda!

Nie był to wcale czczy komplement. Istotnie panna Julia Ożarska wyglądała dobrze o wiele młodziej, jakoś zupełnie inaczej niż dawniej. Oczy nabrały żywych blasków, uśmiech był weselszy i jakby trochę kokieteryjny, cera gładsza, widocznie więcej pielęgnowana, ubranie i uczesanie stanowczo staranniejsze i nieźle do twarzy dobrane.

I teraz niktby nie mógł nazwać jej ładną ani nawet powabną, ale jednak kobiecość promieniowała od niej silnie, rzucało różową łunę na przywiędłą szarą twarz, przebijała się w ruchach, w sposobie mówienia, w spojrzeniu.

— Doprawdy?

— Ależ istotnie. Jeszcze pani nigdy chyba tak dobrze nie wyglądała. Nabrała pani cery, przytyła trochę.

Panna Julia położyła rękę na ramieniu swej dawnej uczenicy i przez chwilę milczała, uśmiechając się tajemniczo a radośnie.

— Boże! jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze i jasno na świecie — wyrzekła tonem poufałego zwierzenia — ta wiosna to naprawdę pierwsza moja wiosna!

— To miłość tylko tak przetwarza kobietę — pomyślała Wanda — widać spotkało biedactwo nareszcie szczęście na swojej drodze.

— Przyjdź do mnie, Wandusiu, zajrzyj koniecznie. Mam ci dużo, dużo do opowiedzenia. Tylko czemuś ty tak jakoś przymizerniała, dziecinko?

Rzeczywiście, o ile podstarzała nauczycielka promieniała radością życia, o tyle młoda i piękna uczenica uderzała przymizernieniem i smutnym wyrazem twarzy. Jakby dla jednej rozbłysło słońce, a dla drugiej zawlokło się chmurami.

— Mam zmartwienie ciężkie... Tatuś chory.

— Co? co powiadasz!... Cóż mu jest?

— Zapalenie płuc. Tatko chodził bez kaloszy i przeziębił się. Teraz lepiej mu już, ale doktór każe się dobrze odżywiać.

Dziewczyna westchnęła ciężko.

— Co za nieszczęście!... Choroba w tym czasie, ale tatuś już wstaje?

— Jeszcze nie.

— Lepiej mu jednak, mówisz?

— Trochę... trochę lepiej.

Dwie grube, jasne krople łez stoczyły się po bladych, alabastrowo-białych policzkach.

— Gorączka mniejsza... ale...

Nie dokończyła. W oczach zamigotał błysk trwogi, jakby się przeraziła sama tego, co pomyśleć chciała.

— Mój Boże, przez to nieszczęście pewnie się znowu odwlecze twój ślub.

Wanda wbiła oczy w asfalt ulicy.

— Oczywiście... i tak pewno byłby nieprędko.

To półzwierzenie wypowiedziane głosem bezdźwięcznym, tonem prawie obojętnym, suchym, surowym, zadziwiło pannę Ożarską.

— I ty tak obojętnie mówisz?

— A cóż mam robić? Głową tłuc o mur — rzuciła Wanda z nagłem rozdrażnieniem.

Panna Julia popatrzyła na nią uważnie i podniosła brwi do góry, co jej przywiędłej fizyognomii nadało wyraz gapiowatego trochę zdumienia. Mocno uścisnęła rękę panny Borowickiej.

— Pa! Wanduś. Zajrzę w tych dniach, choć jestem bardzo, bardzo zajęta i to nietylko lekcyami... — oblał ją gorący dziewczęcy płomień rumieńca — oby Pan Bóg dał, żeby ojciec wyzdrowiał prędko i żebyś ty już raz wyszła za twojego Kazia!... Bo... bo miłość... to jednak najpiękniejsza na świecie rzecz.

— Albo najboleśniejsza — przemknęło przez myśl dziewczynie.

Pożegnawszy pannę Ożarską Wanda zaczęła iść jeszcze szybciej niż poprzednio, straciła parę minut czasu, a miała przecież jak najprędzej wrócić z truskawkami, na które chorego ojca zebrał dziwny apetyt.

— Czuję, że wyzdrowiałbym — powtarzał — gdybym mógł zjeść kilkanaście truskawek... więcie, takich słodkich, dużych, soczystych.

Pora była wczesna na owoce, a z pieniądzmi u Borowickich bardzo krucho, ale Wanda i matka jej nie mogły przenieść tego, aby nie dogodzić kaprysowi chorego.

— Taką ma ochotę... Natura najlepiej wie sama, czego jej potrzeba. Może istotnie polepszy się gdyby zjadł tych upragnionych truskawek — powiedziała wczoraj Borowicka do córki — musisz, Wandziu, pobiedz jutro na targ i kupić koniecznie. Niech już kosztują ile chcą.

— Dobrze mamusiu. Bylem tylko dostała. A ile kupić?

— No z funt... może kilo, gdyby nie były strasznie drogie. Na więcej to nam z pewnością nie wystarczy. I tak w tym miesiącu nie wiem jakby się związało koniec z końcem, gdyby Ruda nie pożyczył. Ojciec miał racyę, ten Michał to istotnie chłopak o złotem sercu. A dla nas jak najlepszy brat, jak najprzywiązańszy syn.

Wanda nie odrzekła na to matce ani słowa, z nerwową pilnością cerując podarte skarpetki Mieczysia.

— A Kazimierz nie był już u nas przeszło tydzień. Dlaczego to?

— Nie wiem, mamo... — odszepnęła zaledwie dosłyszalnie Wanda.

— Nie lubi pewnie atmosfery choroby i kłopotów. Wykwintniś, wygodniś! — zauważyła ironicznie matka, u której Kazimierz stracił zupełnie łaski.

Serce krajało się jej na widok cierpienia malującego się na pobladłej, wymęczonej twarzyczce córki i byłaby zapewne już dawno drzwi pokazała Rawiczowi, gdyby się nie obawiała, że Wanda zbyt silnie zareaguje na tak gwałtowne zerwanie.

— Niech lepiej sama z nim zerwie — zadecydowała — kocha go jeszcze, więc mogłaby mieć do mnie żal za to, żem się wtrącała.

Karimierz zresztą sam przychodził coraz rzadziej i siedział coraz krócej. Borowicka nie myliła się wcale przypuszczając, że atmosfera troski i smutku jest dla niego zbyt przygniatająca, a powietrze przesycone zapachem lekarstw drażni go niemile. Współczuł Borowickim, współczuł nawet szczerze, ale cóż mógł im dopomódz. Miałże biegać jak Ruda od apteki do lekarza, od piekarza do rzeźnika, wystawać w ogonkach za cukrem, czytać choremu gazety, mierzyć gorączkę, poprawiać poduszki? To było stanowczo za dużo na jego nerwy i tak wyczerpane ciągłem lawirowaniem pomiędzy Wandą i Stefą, której już się oświadczył, bo go Burczykiewicz przycisnął do muru.

Zaledwie z trudem zdołał Rawicz wyjednać zwłokę w oficyalnem ogłoszeniu zaręczyn. Trzeba było jednakże już dobrze ukrywać się z wizytami u Borowickich, bo Stefa, w każdym innym wypadku posłuszna ślepo, niewolniczo pokorna, pod tym względem przejawiała ogromną podejrzliwość i niepohamowaną zazdrość.

A ta Walerka nieznośna, a ta Lula szalona i te długi... Było od czego głowę tracić.

Wanda naturalnie o tem wszystkiem nie wiedziała, czuła jednak aż nadto dobrze, że Kazimierz oddala się od niej coraz bardziej, że się jej wymyka.

Wiecznie zapłakana teraz dziewczyna, sklopotana, zgryziona, ubrana niedbale, byle jak, tracila z każdym dniem w oczach Rawicza. Zaczynało mu przy niej być poprostu ciężko i nudno i myślał nad tem, jakby się zręcznie wycofać z tej afery podwójnego narzeczeństwa.

Już kilka razy miał zamiar rozmówić się szczerze z Wandą, ale zawsze w ostatniej chwili brakło mu odwagi. Ogarniał go taki żal i wstyd, że słowa uwięzły mu w gardle. Najczęściej w takich razach porywał za kapelusz i uciekał gdzieś w tłum ludzi, do gwarnej kawiarni, między kobiety strojne, urocze, kuszące.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jedną połać rynku, zalanego słońcem zajęły przekupki, sprzedające kwiaty dzikie i ogrodowe. Płuca z lubością oddychały zmieszaną wonią bzów, fiołków, róż, jaśminów i leśnych storczyków, oczy błądziły po dziwnie subtelnych niby wystylizowanych liniach kwitnącej tarniny, po smukłych kielichach różnobarwnych, bezwonnych irysów, po delikatnych dzwoneczkach konwalii i po impertynencko podniesionych główkach białych i żółtych narcyzów. Stosy gałęzi osypanych kwieciem białem, różowem, liliowem leżały na ziemi w jakimś malowniczym bezładzie. Gdzieniegdzie widniały wiązie szafirowych, jak włoskie niebo lub oczy polskiej dziewczyny, bławatków i purpurowych maków.

Wanda tęsknym wzrokiem ogarnęła to kwietne bogactwo, zapytała najbliższą przekupkę, ile kosztuje gałązka bzu i przerażona wysoką ceną odwróciła oczy.

Tuż za targowiskiem kwiatów rozłożyły się kobiety z koszykami wczesnych owoców. Panna Borowicka jęła się rozglądać szukając truskawek. Nie doniesiono ich dużo, a przytem te, które widziała były niezupełnie jeszcze dojrzałe, małe, rozgniecione jakieś.

Nareszcie dostrzegła to, czego szukała. Kobieta w krakowskim stroju ludowym, kłócącym się wybitnie z jej bezczelnie zuchowatą twarzą wyszczekanej miejskiej przekupki, siedziała na ziemi przy koszyku pełnym ślicznych, dojrzałych wielkich truskawek.

Wanda gorączkowo zaczęła przepychać się przez tłum, w obawie aby nie rozkupiono tych czerwonych, słodkich, soczystych jagód zanim się ona docińie.

Nagle zatrzymała się i aż syknęła, tak mocno ją ktoś potrącił. Mimowoli obejrzała się i znalazła się twarzą w twarz ze Stefą Burczykiewiczówną. Uderzyło ją nienawistne, wrogie, a zarazem drwiące, szyderskie spojrzenie małych, brzydko oprawnych burych oczu.

Burczykiewiczówna ubrana była w jasnozielony wiosenny kostyum, w najmodniejszy kapelusz z przepysznym „rajerem", w ręku trzymała ogromną więź cudnych, ciemno-ponsowych róż. Błyskawicą przeleciało Wandzie przez mózg, że takie właśnie róże o ciemnej, prawie w czarny odcień wpadającej purpurze, lubi najwięcej Kazimierz.

Przecież nieraz dawniej kupowali je razem.

Doznała wrażenia, jakby ją ktoś mocno ściśniętą pięścią walnął w czoło. Zamroczyło ją niemal. Przystanęła na chwilę, chwytając oddech. Obie dziewczyny mierzyły się wzrokiem, obie milczące, zacięte. Jedna zdawała się tryumfować złym, zazdrosnym, niespokojnym tryumfem, druga walczyła wyniosłą, odpychającą pogardą.

Trwało to niedługo, ale było jak pojedynek śmiertelny, w którym żadna strona nie zwycięża, a obie przegrywają stawkę życia. Pierwsza spuściła oczy ku ziemi Stefa, przerażona nagłem jasnowidzeniem, że nigdy nie zdoła przewyższyć tej pięknej, dumnej, wykwintnej panny w ubraniu kopciuszka, a z twarzą królewny z bajki. A lodowata pogarda Wandy stopniała w ogniu szczerego bólu, zalewającego serce wewnętrznemi palącemi łzami.

Panna Borowicka odwróciła się i szła dalej ku kobiecie z truskawkami, a Burczykiewiczówna za nią, sama nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, niby zahypnotyzowana. Miała w sobie teraz jedno tylko pragnienie. Dokuczyć tamtej, pokazać, że ma prawo nią pogardzać, bo ona jednak silniejsza, ona, Stefa Burczykiewiczówna milionowa dziedziczka.

— Dziadówka... — syczała w niej zazdrość, jak jadowita gadzina — spodniczyna łatana, bucki dziurawe, a mina jak... Przecież i ja gdybym była do szkoły chodziła... I wcale nie taka piękna... Blada, wymokła, te oczyska jak atrament.

A jednak... jednak jakże lękała się wpływu tych czarnych, wielkich oczu i tej twarzy „bladej, wymokłej", której usiłowała odmówić urody.

Wanda przecisnęła się do przekupki, sprzedającej truskawki.

— Ile kosztuje kilo?

Cena była fantastycznie wysoka.

— To bardzo drogo.

— A gdzie panna widziała, żeby teraz co, tanio było.

Wanda mimowoli westchnęła i sięgnęła do woreczka z pieniądzmi.

— Proszę mi odważyć funt.

Baba zamruczała coś niechętnie o bawieniu się „z głupim" funtem, ale wyciągnęła jednak leniwym ruchem rękę ku wadze.

— Ja biorę wszystko! Cały koszyk! Proszę, tu są pieniądze! — zabrzmiał ostry, chropawy głos. Stefa Burczykiewiczówna rozognionа, z brzydkim, złym uśmiechem wcisnęła przekupce do ręki banknot.

— Całuję rączki panusi! Czy odnieść do domu?

— Nie trzeba, przyślę tutaj zaraz mojego służącego po ten koszyk.

— Padam do nóżek wielmożnej pani!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jubileusz czynu i pracy.

Dnia 31 grudnia 1918 r. w kołach handlowo-przemysłowych w Warszawie obchodzono 25-lecie pracy zawodowej i obywatelskiej pana Maksymiliana Luksemburga, przemysłowca i dyrektora dwóch towarzystw asekuracyjnych. Był to jubileusz czynu i pracy człowieka, który nie okolicznościom przyjaznym, nie stosunkom, nie majątkowi odziedziczonemu, lecz wyłącznie samemu sobie, swojej inicyatywie, swojej energii, swojej przedsiębiorczości



Jubileusz czynu i pracy: Maksymilian Luksemburg.

i swojej własnej pracy zawdzięcza dziś i stanowisko społeczne i majątek, i uznanie powszechne. Ludzie tego pokroju, co pan Maksymilian Luksemburg, mogą i winni być stawiani za przykład tym zgorzkniałym apatykom społecznym, którzy uparcie powtarzają, iż „u nas" ludzi albo się nie ceni, albo niedocenia, którzy żonglerują kilkoma nazwiskami miliarderów amerykańskich o karyerze niezwykłej i na tej podstawie utrzymują, że w Polsce nikt, nigdy i do niczego dojść nie może.

Maksymilian Luksemburg urodził się w Warszawie dnia 7 października 1864 r. Jako syn ubogich rodziców wcześnie poznał twardą szkołę życia, nauczył się polegać nie na pomocy, lecz na własnej pracy i wysiłkach. Szkoły średnie ukończył w mieście rodzinnem. Kształcenie siebie nie stanęło mu na przeszkodzie, aby wkroczyć na drogę życia praktycznego. I oto studya wyższe odbywa już jako człowiek niezależny, posiadający duży majątek osobisty. Wyrusza więc w podróż, gości przez czas dłuższy w Anglii, we Włoszech, w Belgii, wyrusza do Azyi i Afryki, nie w roli znudzonego podróżnika, utrwalającego na płytkach Kodaka spopularyzowane na pocztówkach widoczki, lecz w roli skrzętnego obserwatora i badacza stosunków handlowo przemysłowych.

Zwiedza wszystko, co jest godnem zwiedzenia, nic nie uchodzi jego bacznej uwagi, wszystko ujmuje pod kątem przystosowania i przeszczepienia na grunt stosunków i warunków rodzinnych. Wrodzone zdolności pozwalają mu przyswoić sześć języków nowoczesnych, co ze swej strony ułatwia mu poznanie głębsze tych dziedzin życia i jego przejawów, które najbardziej interesowały go, jako kupca i przemysłowca.

O przedsiębiorczości Maksymiliana Luksemburga, o wszechstronności jego inicyatywy, o rzutkości handlowej świadczy najlepiej jego dalsza działalność. Jest on twórcą i założycielem całego szeregu przedsiębiorstw. Jemu zawdzięcza powstanie: cegielnia „Szczęśliwa", fabryka wyrobów kotlarskich i żelaznych pod firmą „Br. Maliszewscy i Ska". Jest on wzorowym gospodarzem majątków własnych: „Widok Mokotowski" i „Jurki". Buduje wreszcie w Warszawie znaną „Galeryę Luksemburga".

Nie szukając nigdy taniego rozgłosu, będąc wrogiem z przekonania zgiełkliwej reklamy, Maksymilian Luksemburg nie cofał się nigdy przed okazaniem pomocy tym, co na wsparcie i poparcie zasługują.



Pogrzeb dzielnego wodza: Kondukt pogrzebowy ś. p. majora Lisa-Kuli dąży przez ulice Rzeszowa.



Okręgowy Zjazd Sokolstwa w Krakowie: Uczestnicy Zjazdu pod gmachem krakowskiego „Sokoła". (Fot. Pierzchalski)




Rocznica Kościuszkowska w Rzeszowie Tłumy uczestników uroczystości na rynku rzeszowskim.

Podczas wojny, gdy nędza stanęła u progu rzesz robotniczych, gdy wiele, bardzo wiele rodzin robotniczych zostało bez dachu nad głową, 250 z nich



Z sali koncertowej Robert Perntz, znakomity skrzypek

znalazło przytułek bezpłatny w domach Maksymiliana Luksemburga.

Wśród wielu jubileuszów, ten, który obchodził M. Luksemburg, zasługuje ze wszechmiar na miano: jubileuszu czynu i pracy.

Rocznica Kościuszkowska w Rzeszowie

Myśl uczczenia w wolnej Polsce rocznicy wiekopomnej przysięgi Kościuszki na rynku krakowskim na wierność sprawie narodowej, rozeszła się lotem błyskawicy po wszystkich zakątkach naszej ziemi, gdzie biło serce gorącej miłości dla pierwszego bojownika o ideę, później tyle razy podnoszoną z bólem i rozpaczą przez powstania.

Obchód rocznicy przysięgi T. Kościuszki w Rzeszowie urządziło T. S. L. w porozumieniu z władzami tak cywilnemi, jak i wojskowemi, dnia 24 marca. Uroczystość rozpoczęła się solennem nabożeństwem, w którem wzięły udział delegacye władz i szkoły. Kościół parafialny tak był pełny, że nie mógł pomieścić w swych murach tak wielkiej ilości ludzi, którzy przybyli. Wśród Mszy św. wygłosił ksiądz Chmielnikowski patryotyczne kazanie, dostosowane do chwili tak u oczystej i wspaniałej, chwili, którą poraz pierwszy w wolnej, niepodległej Polsce przeżyliśmy. Po skończeniu nabożeństwa udał się pochód na Rynek pod pomnik Tadeusza Kościuszki, gdzie złożono wieniec u stóp pomnika człowieka, który pierwszy nie mogąc przeboleć ciosu, zadanego swej ojczyźnie, podjął myśl zerwania kajdan, wskazując czynem jutrzenkę wolności. Po przemówieniu prof. Owińskiego odśpiewano rotę przysięgi przy współudziale muzyki 17 pułku piechoty. Kto tylko był obecnym śpiewał, a słowa potężne tej pieśni wznosząc się w przestworze, padały przed tronem Najwyższego, jako dowód naszych prawdziwych i niezłomnych uczuć naszej wiary w siły własne i w świetną przyszłość.

Z sali koncertowej.

Po długich pertraktacyach zdołało pozyskać „Krakowskie Biuro koncertowe E. Bajański" jedną z najsławniejszych sopranistek polskich Matyldę Polińską Lewicką, primadonnę opery warszawskiej oraz oper zagranicznych. Matylda Lewicka należy do rzędu tych nielicznych śpiewaczek polskich, które występowały w największych operach włoskich, niemieckich i w Ameryce. Przed wojną występowała pani Lewicka w Bostonie jako stała partnerka Carusa. Obecnie znakomita nasza śpiewaczka, zaskoczona wypadkami wojennemi, jest filarem opery warszawskiej w rolach liryczno-dramatycznych, zwłaszcza jako niezrównana Aida, Dezdomona, Madame Butterfly, Santa Manon, Elsa i inne. Wszyscy krytycy nasi i zagraniczni określają głos pani Lewickiej jako fenomenalnie piękny w swem brzmieniu i o wybornej szkole, podatny zarówno do wysokiego dramatycznego napięcia, jak i do najsubtelniejszych lirycznych odcieni. Jedyny koncert sławnej śpiewaczki odbędzie się u nas w niedzielę, dnia 13 kwietnia 1919 r. w sali „Sokoła".



Z sali koncertowej: Znana śpiewaczka Matylda Polińska-Lewicka.

W zeszłym tygodniu koncertował w naszem mieście znakomity skrzypek polski Robert Perntz i entuzyastycznie został przyjęty zarówno przez publiczność, jak i przez prasę. Podobiznę naszego artysty zamieszczamy obok.



W obronie Lwowa: Oddział studencki gimnazyum I. w Rzeszowie.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

9

Ujął ją poufale pod ramię i poprowadził do najbliższej kawiarni. Usiedli na czerwonej pluszowej kanapce, jedno bliziutko koło drugiego. Klaudyusz całym wysiłkiem woli panował nad sobą, aby jej nie pochwycić w ramiona.

Uprzedzając obowiązkowe zapytanie, oświadczył odrazu, że lekarze nie donieśli mu nic nowego. Nie wymienił imienia Ksawerego. Instynktownie unikał tego.

Potem opowiedział jej historyę swej niedoszłej samobójczyni i jej kochanka, tak, jakby to pozostawało w jakimś tajemniczym związku z ich romantyczną schadzką.

— Kobiety miewają niekiedy dziwne gusta. Ten kochanek, to jakieś wstrętne indywiduum. Ciekawym, co ta kobieta w nim widziała.

— Czyż to da się tak łatwo wytłomaczyć? Czasem jakiś ton głosu, czasem miłe słówko... A może... może interes materyalny, bo i to nie wykluczone.

— Ma pani racyę.

Ostatnie słowa Marion przypomniały Klaudyuszowi o pieniądzach Grantouvra, a to przypomnienie miało bardzo niemiły posmak.

Zapanowała długa chwila ciszy, w czasie której Marion zbierała całą swoja odwagę.

— Nie! nie jestem mądra wcale, ale umiem być szczerą... I dlatego zapytuję pana: Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że my od kilku dni gramy niebezpieczną grę?

— Jakto?

— Jesteśmy na najprostszej drodze, prowadzącej do zakochania...

Klaudyusz zamiast odpowiedzi przycisnął się tak blisko do swej towarzyszki, że ciała ich zetknęły się. Mężczyzna zatopił spojrzenie w przepastnych głębiach szaro-niebieskich oczu kobiety.

Ta chwila, która im wydała się bardzo krótką, wystarczyła, aby poważna, starsza dama zgromiła ich wzrokiem, pełnym oburzenia.

Klaudyusz westchnął głęboko.

— Powiada pani, że jesteśmy dopiero na drodze... Ależ to już rok minął, jak się to zaczęło. Proszę sobie przypomnieć.

Ona uśmiechnęła się.

— Mówi pan o naszem zbliżeniu, jak o dramacie. Bo też to jest istotnie dramat. Ja jestem zamężna, pan także. Pańska żona jest moją najserdeczniejszą przyjaciółką. Mój mąż, to najlepszy przyjaciel pański, a przytem jest na wojnie. Zaginął, ale być może, że żyje jeszcze. Nasze dzieci zaręczyły się...

Z siłą powtórzyła:

— Nasze dzieci zaręczyły się... — albowiem uważała ten argument za decydujący.

Tymczasem Klaudyusz ścisnął tylko jej rękę w swoich dłoniach i rzekł:

— Marion, kocham cię! To tylko mnie obchodzi... Kocham cię!

— I ja cię kocham, ale tem więcej musimy się rozstać...

— Niepodobna!

— Dlaczego?

— Bo węzeł zacisnął się zbyt mocno — lekarz przyszedł w pomoc kochankowi — bo siła wzajemnego przyciągania tkwi w nas już oddawna. Spotykając się często, wytworzyliśmy z naszych pragnień twór duchowy, pełen mocy, który chce żyć i nie podda się ani twojej ani mojej woli: to nasza miłość. Należymy do niej tak, jak ojciec i matka należą do dziecka. Nasze połączone wysiłki nie przeszkadzają jej w naturalnym rozwoju. To nie przenośnia poetycka, to jest rzeczywistość absolutna, słyszysz, malutka, absolutna!

Z bolesnym półuśmiechem pokiwała głową.

— Gdyby to tak było, to ja nie miałabym wyrzutów sumienia ani pan skrupułów. Nie straciliśmy przecie rozsądku, ani jedno ani drugie. Nie jesteśmy dziećmi i umiemy patrzyć jasno. Nie twierdzę, aby nam było łatwo rozstać się po tem wyznaniu, sądzę jednak, że to jest możliwem...

— Sądzi pani tak dlatego, że ja utrzymuję coś wręcz przeciwnego. Gdybym wymówił to decydujące słowo: „żegnaj", odczułaby pani odrazu fałszywy ton kłamstwa.

— Możemy jednak spróbować.

— Poco? Dlaczego?

— To nasz obowiązek przecie.

— Kiedy ja jestem przekonany, że ta walka będzie daremna.

Marion czuła, że aby podziałać na niego, trzeba użyć jakiegoś argumentu, zaczerpniętego z dziedziny fizyologii i medycyny.

— Klaudyusz, opowiadałeś mi pan raz, jak się można odzwyczaić od chronicznego zatruwania się morfiną. Zmniejszając stopniowo dawki i wkońcu usuwając ją zupełnie. Chcesz, abyśmy leczyli się podobnie? Tak, bo my jesteśmy zatruci. Gdybyśmy się tak odrazu rozstali dzisiaj, to mogłaby przyjść gwałtowna recydywa, która rzuciłaby jedno drugiemu w objęcia. Zacznijmy więc kuracyę. Zobaczymy się dopiero za ośm dni.

— Ależ to wiek cały, te ośm dni!... Nasze mistyczne dziecko zapłacze się w czasie tej rozłąki.

— Nie! oszukamy je wodą z cukrem — wspomnieniami.

Wyrazem twarzy Klaudyusz błagał o pocałunek. Marion położyła na wargach palec z minką zadąsaną, przypominając mu, gdzie się znajdują. Przyznał jej słuszność, ujął więc tylko rękę, z której Marion zdjęła rękawiczkę i ucałował końce delikatnych paluszków.

— Do przyszłego piątku.

Klaudyusz zapytał:

— Gdzie? czy na ulicy Niel?

Namyślała się przez chwilę.

— Nie, to zanadto niewygodnie. Gdzieindziej.

— Może w Tuileryach?

— Tam zadużo ludzi.

Szukał w myśli odpowiedniego zakątka. Wkońcu przyszło mu na myśl zaproponować spotkanie w kościele.

— Ależ... ależ, to jakby bluźnierstwo.

— Dlaczego? Przecież nie popełniamy żadnego grzechu, przeciwnie chcemy iść na przekór naszym popędom.

Ta wygodna fikcya pozwoliła im wybrać kościół świętego Rocha, pusty zupełnie o godzinie w pół do siódmej wieczorem.

— Do widzenia, najdroższa Marion!

— Psst!... Do widzenia.

Już wysunęła się z kawiarni, zwinna i cicha, jak kotka.

Klaudyusz patrzył jeszcze przez chwilę na kanapkę, na której siedziała, na stolik z marmurowym blatem, na ścianę malowaną w secesyjne kwiaty, jakgdyby chciał to wszystko wbić sobie mocno w pamięć. Zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, że już zapóźno jest cofać się i układał sobie w mózgu różne możliwe kombinacye.

A zatem: zerwanie małżeństwa w razie, gdyby Ginetta dowiedziała się, powrót Ksawerego, pojedynek, strzały rewolwerowe, skandal towarzyski, rozpacz i rozstanie Janki z Franciszkiem.

Każda z tych hipotez była przykra, a jednak żadna nie wydała mu się tak rozpaczliwą, jak utrata tej słodkiej uroczej istoty. Zdawało mu się, że rezygnując z Marion, rezygnuje ze swoich praw do życia.

Zresztą nie wszystkie przecie przygody miłosne muszą mieć dramatyczne rozwiązanie.

— Mam lat pięćdziesiąt. Niedługo wiek oddzieli mnie niby grubą szybą od piękna, od szczęścia miłości. Wolno mi będzie tylko patrzyć, ale nie dotykać. A tymczasem... czyż te kilkanaście minut, jakie spędziłem na tej kawiarnianej kanapce, nie mają większej wartości niż wszystkie moje prace i sukcesy naukowe? Gdyby mi kazano wybierać, nie zawahałbym się w wyborze.

— — — — — — — — — — — — — —

Następnego piątku Klaudyusz, którym szarpały niecie pliwość i zdenerwowanie, przybiegł na schadzkę o półgodziny zawcześnie.

W nawie kościelnej nie było nikogo oprócz jakiejś kobiety w żałobie, która na klęczkach modliła się, płacząc.

Klaudyusz, który głęboko szanował wiarę i modlitwę, pożałował, że obrał świątynię za miejsce spotkania z kobietą.

I nagle przypomniał sobie, że w tym właśnie kościele trzydzieści ośm lat temu, przystępował do pierwszej Komunii.

To wspomnienie spotęgowało skrupuły i wyrzuty sumienia. Jasno i wyraźnie zobaczył przed sobą wszystkie ujemne strony swej przygody miłosnej. Ta cała historya, godna młodego studenta nie odpowiadała powadze i doświadczeniu dojrzałego, ba! już nawet starzejącego się człowieka.

Wszak mógłby unieszczęśliwić swoje ukochane dziecko, Jankę i tego dobrego, dzielnego chłopca.

Poniżało go to we własnych oczach. Gotów był już odejść nie czekając na Marion, kiedy, wtem smukła, zgrabna postać kobieca przesunęła się obok niego. Była to pani Darmelle.

Intuicyjnie wyczuła odrazu, że Klaudyusz wymyka się jej. Postanowiła go uprzedzić.

— Przyszłam tutaj tylko dlatego, że to już po raz ostatni. Klaudyuszu, to co my robimy jest złe! Narażamy się na straszliwe męczarnie! Żegnaj mi, nazawsze żegnaj!

Już podniosła się i zniknęła jak senne zjawisko. Pozostała po niej tylko smuga subtelnej woni dyskretnych perfum.

Klaudyusz wybiegł z kościoła. Na ulicy des Pyramides nikogo! Na ulicy Saint, Honoré ni kogo! Pobiegł aż do placu Opery, nie odnajdując tej, której szukał. Oszołomiony, wytrącony z równowagi skinął na dorożkę automobilową. Kazał szoferowi jechać na róg ulicy Saint Pères i bulwaru Saint Germain.

— Ach! proszę pana, to daleko a mnie brakuje benzyny.

— Zapłacę podwójną taksę.

Dorożkarz zdecydował się, ale uszkodzony nieco motor nie pozwalał na szybką jazdę. Klaudyusz dziesięć razy decydował się wysiąść i dziesięć razy porzucał tę decyzyę, przekonany, że innego wehikułu o tej porze nie dostanie.

Nareszcie rozklekotany automobil osiągnął swój cel. Klaudyusz wysiadł, zapłacił i czekał, niepomnąc, że może go ktoś zobaczyć w blizkości mieszkania Darmellów.

Przybył w sam czas. W pięć minut później spostrzegł nadchodzącą Marion. Szła szybko drobnymi krokami, wzburzona, nie widząc niczego do koła. Gdyby ktoś mógł czytać w myślach pięknej kobiety, dowiedziałby się, że życie w tej chwili wydawało się jej bezmiarem cierpienia a śmierć upragnionem ukojeniem.

Skoro zobaczyła Klaudyusza z trudem powstrzymała w piersi okrzyk radości.

Serca obojga uderzyły tak zgodnym rytmem, iż zrozumieli, że na wszelką chytrość, komedyę, udawanie zapóźno...

Przywitali się jak dobrzy przyjaciele. Klaudyusz rzucił szybko, już bez namysłu:

— Kocham cię... Muszę cię zobaczyć jutro w Buttes-Chaumont nad jeziorkiem. Marion! na miłość Boską! Kocham cię!

Blada jak płótno odszepnęła:

— Dobrze!

Gardło i ręce miała rozpalone, oczy błyszczące, a siła przyzwyczajenia była jednak w niej tak wielka, że na rozstanie nie zapomniała rzucić:

— Pozdrowienie dla Ginetty!

A jednakże jak daleką była w tym momencie od wszelkiej obłudy!

W nocy Klaudyusz, udając przed swoją brzydką żoną, że spi, rozmyślał o swej miłosnej aferze. Skrupuły, które miał poprzednio, zniknęły bez śladu. Jakiś drugi człowiek zbudził się w nim: miłujący Marion ponad honor i ponad życie.

Marion także wsłuchiwała się tej nocy w głos swego serca. Napróżno usiłowała go zgłuszyć powtarzaniem słów takich jak: Ksawery, wojna, obowiązek, żałoba, syn, Janka, Ginetta.

Czuła, że uledz musi, bo grzech jest zanadto kuszący... Tak przeraziła się w kościele świętego Rocha, że utraci nazawsze tego ukochanego człowieka? Nie! nie!... pocóż dręczyć dłużej i siebie i jego?

Wszak mija czas i nieubłagana starość zbliża się, za chwilę zadzwoni do wrót. Dlaczegóż więc walczyć z ostatnią miłością, tłumić ostatni płomień, łamać ostatnie jesienne róże.

Zwłaszcza, że walka ta musi się skończyć zwycięstwem Erosa. Ksawery? no cóż, Ksawery nie żyje, przecież napewno nie żyje...

Ginetta... Po raz pierwszy Marion powiedziała sobie jasno bez ogródek, że jej serdeczna przyjaciółka jest kobietą brzydką, pozbawioną wszelkiego wdzięku i w dodatku złośliwą. Skonstatowała to z uczuciem niekłamanego i prawdziwego zadowolenia. Czyż można żądać, aby taki człowiek jak Klaudyusz przy tej żonie nie zapragnął innej kobiety. Zwłaszcza, jeśli ta kobieta...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lwów w ogniu.

Twarda obrona Lwowa przez jego mieszkańców z dnia na dzień znaczy się krwawym szlakiem. Pociski ukraińskie, mające głównie na celu złamanie ufności i wiarę w siebie, niszczą wszystko w wandalski sposób. W niektórych dzielnicach niema domu nieuszkodzonego granatami. Ale wszystko idzie swoją drogą mimo czasem piorunujących wieści rozchodzących się po mieście, jak np. ostrzeliwanie kościoła św. Elżbiety. O ofiarach w ludziach już się nie mówi; są one zbyt codziennym faktem. Mówi się jedynie o tych, którzy zapisali się wybitnie w sercach polskich. Wśród nich odznaczył się pułkownik bryg. Zygmunt Jastrzębiec Strzelecki, komendant załogi lwowskiej, który objąwszy inspekcyę frontów na wszystkich odcinkach lwowskich umiał natchnąć obrońców dzielnym duchem oporu i wytrwałości. Przebywszy na czele 4 pułku ułanów kampanię w Besarabii, w Karpatach i nad Piawą, ciężko chory, wyczerpany tyloletnimi trudami i udręką na obczyźnie dostał się do szpitala lwowskiego na Technice i tu go zaskoczyły wypadki listopadowe. Mimo choroby zgłosił się do służby i walczy w obronie Ojczyzny.

W tymsamym czasie na karcie posiewu niszczycielskiej ręki ukraińskiej zapisało się jeszcze jedno imię sierżanta Kazimierza Winnickiego.



Uroczystości Kościuszkowskie w kraju: Premier Paderewski z żoną w pochodzie Kościuszkowskim w Warszawie.

Z życia Podhala.

Od chwili kiedy Czesi rozpoczęli walkę z Polakami, całe Podhale stanęło pod znakiem organizacyi wojskowej. Akcyę ujął w swe ręce znany i ceniony dowódca pułkownik Galica, który wyrosły na Podhalu potrafił w serca górali polskich przeszczepić ideały ukochania Ojczyzny, którym sam hołdował, kiedy z początkiem wojny wstąpił do Legionów polskich. Dzięki jego niestrudzonej energii ruch wojskowy na Podhalu rozwinął się w potężną organizacyę, dostarczając armii polskiej tysiące bojowników. Od szeregu tygodni Podhalanie pod wodzą pułkownika Galicy trzymają straż na granicy, broniąc gór naszych przed inwazyą czeską. na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów.

Życie narodowe przy umiejętnem poparciu ze strony pułkownika Galicy rozwinęło się w całej pełni. Dowodem tego jest szereg uroczystości, jakiemi Podhale czciło w ostatnich czasach wielkie chwile narodowe.



Uroczystości Kościuszkowskie w kraju: Minister generał Leśniewski przed kompanią honorową.



Uroczystości Kościuszkowskie w kraju: Członkowie misyi koalicyjnej w pochodzie warszawskim.

Pogrzeb dzielnego wodza.

Dnia 16 marca odbył się pogrzeb ś. p. podpułkownika Lisa Koli Leopolda. Udział w tej ostatniej przysłudze bohatera, w którym cała Polska tyle



Z życia Podhala: Pułkownik Galica, komendant Podhala.

nadziei pokładała, wzięło nie tylko miasto, ale i wsie okoliczne. Kondukt udał się z pod kościoła popijarskiego, gdzie były przez dzień wystawione zwłoki, z pod tego kościoła, w którym niedawno temu młody, a wielki bohater składał przed ołtarzem Wszechmogącego swe modły o wolność i niepodległość ojczyzny, którą od małego dziecka pokochał, dla niej żył i za nią bohaterską śmiercią zginął. Po przemówieniu dowódcy okręgu i Dra Niecia ruszył kondukt ulicą 3 Maja przez Rynek na cmentarz. Wszystkie delegacye, szkoły (oprócz delegacyi żydowskiej) postępowały za trumną, dając swoją obecnością najlepszy wyraz uczuć patryotycznych. Na cmentarzu po kilku przemowach złożono zwłoki bohatera do grobu.

Kronika tygodniowa.

Każdy ma swego mola, który go gryzie (mole te rozmaicie nazywają...) I ja mam go także, a jest nim... pan metrampaż, zostający ze mną stale na wojennej stopie. Nie mogę mu nigdy dogodzić!... Raz skrypt niewyraźnie pisany, to znów zbyt krótki, czasem zadługi. Ale na wszystko jest rada!... Jeśli piszę nieczytelnie, co jest cechą charakterystyczną wszystkich wielkich ludzi, do rzędu których i ja widocznie należę, trzeba mi sprawić maszynę do pisania, ale zarazem i sekretarkę, gdyż ja nie jestem biegły na tym instrumencie. Wszystko byłoby zatem w porządku, ale znowu na samym wstępie wyłoniły się dwie trudności nie do przezwyciężenia. Najpierw nie było takiego, kto miałby ochotę kupić ową maszynę i darować mi ją w prezencie, a chyba trudno pisać na niej, jeśli się jej nie ma.

Pozatem, o ile rozchodziło się o ową sekretarkę, oświadczyła Weronika, że na to nigdy nie pozwoli, aby inna kobieta miała się wedrzeć w jej prawa. Na wypadek gdybym zaś ośmielił się zlekceważyć sobie jej stanowczą wolę, zagroziła mi absolutną opozycyą, wobec której jest niczem ta, którą zapowiedział towarzysz Ignacy w Sejmie warszawskim. Nawet głos ma wtedy donioślejszy, niż towarzysz Piżak, obecnie „najgłośniejszy“ z naszych posłow.

Natomiast, o ile zajdzie ta ewentualność, że kronika jest albo zbyt długa, albo jej brak kawałka ogona, bardzo łatwo temu poradzić. Kawałek się odcina, albo też dosztukowuje i wszystko w porządku.

Coś podobnego stało się i z poprzednią kroniką. Pokazało się, że ją trzeba skrócić i tak też było. Ale kronikarz nie wiedząc o tem, że ją taki los spotka, zapowiedział, że poruszy „domową“ politykę, tymczasem zaś zbieg okoliczności na to nie pozwolił.

Dziś wypada więc złe naprawić i nową kronikę nawiązać do owego rzemiennego dyszla, na którym w tamtym tygodniu skończyliśmy, zwłaszcza, że poruszona tam sprawa staje się dziś właśnie aktualną.

Podróżowanie rzemiennym dyszlem byłoby dziś połączone z pewnemi trudnościami, gdyż o ile po naszym kraju możnaby swobodnie jeździć (i to, kto wie!...), o tyle za granicę nie wypuszczą, tak ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy „przyjaciółmi“. Nie dziwiłbym się bynajmniej, gdyby wojska jenerała Hallera, aby się znaleźć u nas bodajby już... w maju, obrały sobie, tak, jak to swojego czasu zapowiedziałem, drogę powietrzną, gdyż na razie tylko ona jest wolna. Miały pierwotnie przypłynąć do Gdańska i tam lądować, ale na to nie pozwalają Niemcy. Potem wyłonił się projekt, aby się skierowały drogą lądową na Włochy, Jugosławię, Austryę i Czechy, ale nikt znów nie wie, czy na to zgodzi się rząd czeski.

O ile mnie się zdaje, to one przyjadą do nas w samej rzeczy w... maju, ale tym wszystkim niespodziankom, zamiarom itd. niema się co dziwić, bo to przecież mamy teraz okres *prima-aprilisowy*, a w polityce, jak rok długi, jest stale „pierwszego kwietnia“.

Ale dajmy temu spokój, gdyż na ową „domową“ politykę może łatwo braknąć miejsca, a powinno się wspomnieć, bodaj kilku słowami, o nowej zmianie formy rządów w dawnym zaborze austryackim, gdzie miejsce dawnej Komisyi likwidacyjnej (P. K. L.), zajęła Komisya Rządząca, a obecnie ujął ster spraw galicyjskich jeneralny delegat, wraz z radą przyboczną, złożoną z samych „fachowców“. Narzekano, że w gabinecie Moraczewskiego byli ministrowie analfabeci, tego o tym nowym zespole powiedzieć nie można, gdyż w gronie owych delegatów widzimy nawet i klasycznych filologów. Jedno z pism humorystycznych donosi, że łacinnikowi oddano referat rolnictwa, ale ja w tem nie widzę nic tak śmiesznego, a tembardziej dziwnego, jeśli się zważy, że Wirgiliusz napisał „*Georgiki*“ i „*Bukoliki*“, *ergo* klasyczny filolog nie tylko może, ale nawet i musi się znać na tem, co dotyczy spraw agrarnych, chowu bydła itd.

Życzyć należałoby sobie natomiast, aby ten nowy rząd, nazwijmy go „galicyjski“, zerwał już raz ze starym austryackim szlendryanem, aby już raz poszły spać rozmaite centrale, inspektoraty i tym podobne wojenne dziwolągi-nowotwory, a wówczas ułożą się jakoś znośniej stosunki, które, zamiast się poprawiać, z każdym dniem stają się gorsze i opłakańsze Ze cukru brak, to ostatecznie można jeszcze jakoś przeboleć, gorzej, że brak chleba i mąki, a ubiegły tydzień był „bezmięsny“ (wskazane, ze względu na wielki post!... przyp. zecera). A komu to mamy zawdzięczyć?... Nikomu innemu, tylko naszym sferom rządzącym, które myślą o wszystkiem, tylko nie o tem, co do nich należy. Chcąc wywieźć kilogram artykułów codziennego użytku trzeba stracić dwa tygodnie na wyrobienie pozwolenia, a tymczasem i dziś jeszcze bez niego całe wagony wyjeżdżają najspokojniej za granicę. Stary, austryacki system nie zmienił się ani na jotę! Ci, którzy robili dawniej dobre interesy, robią je dalej, z tą tylko różnicą, że mniej się posługują językiem niemieckim, choć między sobą stale go używają.

Było źle, jest źle, a będzie jeszcze gorzej, jeśli się całe społeczeństwo rychło nie ocknie i nie zabierze wspólnemi siłami do wyplenienia złego.

Cały ten ustęp musiał odpaść, dzięki orzeczeniu pana metrampaża, który w urzędowaniu jest bezwzględniejszym, niż pierwszy lepszy Prusak i gdy raz powie, że miejsca brak, na to nie pomoże nawet i apelacya choćby... na główny *verlag*, gdzie mogliby ją bardzo rychło załatwić, nie mając co innego do roboty, dla ułatwienia bowiem manipulacyi zapasy tytoniowe sprzedawano we fabryce wprost paskarzom. Zarządu fabryki o to winić nie można, gdyż nam nie tak dawno ogłosiła publicznie w dziennikach, że o kradzieżach wie, ale na to nic poradzić nie może.

Ale, dlaczego, to już jej tajemnica!

Wracajmy jednak do pana metrampaża. W ubiegłym tygodniu odesłał mi dwie kartki skryptu, ale nawet nie przypuścił, że odłożenie tego tematu do następnej kroniki będzie właśnie na czasie.

Niechaj mu Pan Bóg przebaczy, że mnie tak prześladuje. Być może poprawi się po wielkanocnej spowiedzi, do której się w tych dniach wybiera i obiecał się nawet wykazać kartką... (z przed lat dwudziestu, gdy zamierzał wstąpić w związki małżeńskie...).

I proszę mi powiedzić, czy nie miałem racyi, nawołując nowy rząd galicyjski, aby już raz zerwał z dawnym austryackim szlendryanem, który każdemu tak dokuczył. A że on tam dotąd pokutuje, o tem niema dwu zdań. Nasze magistratury polityczne, zwłaszcza zaś Komisya Rządząca, mają to do siebie, że żywią, nic, albo niewiele tylko do roboty dając, setki różnych darmozjadów, bez których nawet w wojennym czasie obeszłoby się zupełnie dobrze. Z samych „maszynistek“ i „manipulantek“ możnaby uformować ze dwa pułki Amazonek i wysłać je pod Lwów, utworzyć pokaźny zastęp pielęgniarek trochę wysłać „na świeże powietrze“, a i ta reszta, jaka zostanie, wystarczy na przepisanie w swoim czasie referatów, wygotowanych w odnośnych biurach. Wobec tych warunków niema się też czemu i dziwić, że, jak się obecnie pokazuje, administracya samej tylko Galicyi zachodniej pochłania półrocznie tyle, co ongiś całej Austryi przez pełny rok.

Jeneralny delegat rozpoczął też swą działalność od zmniejszenia personalu i w tym celu wypowiedział służbę kilkuset kontraktowym urzędnikom, co znów spotkało się z ogromnym lamentem *Kuryerka*, roniącego łzy nad „krzywdą polskich urzędników“.

I mnie ich żal, że w tych ciężkich czasach stracą porządny kawał chleba i to z masłem, ale cóż na to poradzić? Gdzie cienko, tam się rwie, a u nas jest chyba tak cieniutko że już cieniej być nie może, wobec czego wskazanem jest jak najrychlejsze zaprowadzenie najdalej idących oszczędności. Różni młodziutcy panowie dyrektorowie mogą i na innem polu równie skutecznie pracować dla kraju, choć może mniej dla siebie samych. Nie tyle może biurko urzędnicze, ile pensya, jaką się regularnie pobiera na pierwszego (i ta reszta!...) mają jakiś dziwny urok, że nawet stary, trzęsący się emeryt zgłasza jeszcze swe służby dla kraju i współobywateli i oświadcza gotowość objęcia nawet kilku równocześnie stanowisk, byle tylko... były dobrze płatne.

I tutaj naturalnie protekcya gra główną rolę. Prawdziwie potrzebujący i potrzebująca z pewnością zajęcia nie znajdzie, a przynajmniej nie tak łatwo.

Wielką część winy przyjąć musi naturalnie na siebie i sam rząd, jak on się wówczas nazywał, to mniejsza, angażując tyle sił i powiększając je z dniem każdym. Ale bo my i urzędów mamy już tyle, że się nawet nie wie, dokąd się zwrócić w jakiej sprawie. Gdy się dowiesz, która władza to załatwia, trzeba dalej badać, jaki jej departament, w której dzielnicy miasta, jak się nazywa referent i kiedy go można zastać „przypadkowo“ w godzinach urzędowych w biurze.

Jedna tylko instytucya podoba mi się, a jest nią nowo kreowany Okręgowy Urząd opieki zdrowia, mający za zadanie wypowiedzenie wojny na śmierć i życie wszelkim chorobom, zarazkom i t. d., nawet neutralnym. Jeśli weźmie się ostro do pracy, bardzo łatwo stać się może, że w najbliższym już czasie lekarze, aptekarze i karawaniarze będą musieli ogłosić ogólne bezrobocie i oglądnąć się za jakiemś popłatniejszem zajęciem, gdyż ludzie będą umierali jedynie na uwiąd starczy lub „na polu chwały“, od czasu tylko do czasu z głodu i to jedynie mniej wytrzymali.

Rozpocznie się wówczas nowy złoty wiek dla ludzkości, podobny do owego, jaki opisuje Owidyusz w swych „Przemianach“ (ale nie materyi!...) i dlatego radzę każdemu z serca, niechaj czeka cierpliwie, aż ujawnią się błogie skutki działalności nowego urzędu.

Miarą wydatnej czynności naszych urzędów mogą być, jeśli kto woli, albo ogonki interesantów przed drzwiami różnych mniejszych i większych dygnitarzy wyczekujące cierpliwie na swą kolej, albo też coraz większy debrobyt, o jakim się nie śniło nawet i Paryżanom w czasie słynnego oblężenia w latach siedmdziesiątych. Ta tylko różnica, że wówczas wiedziało się, iż się je mięso konia, psa lub szczura, dziś się zaś jest przekonanym, że się spożywa wyborną wieprzowinkę, należycie naturalnie przesoloną, ale tylko ze względu na cenę, bo nawet i soli już brakło, tak racyonalnie gospodarujemy (a może ją Niemcy wywieźli z Wieliczki?... przyp. zecera).

Obecnie obywamy się stale bez węgli, świec i nafty, z czem się przecież można jakoś pogodzić, gdyż i cieplej się robi i dnie stają się coraz dłuższe. Z powodu braku tamtych artykułów można się też obejść bardzo wygodnie i bez zapałek, które dawniej bywały używane także i do zapalania cygar i papierosów, co dzisiaj jednak należy już tylko do wspomnień historycznych. Następnie, choć właściwy przednowek jeszcze się nie zaczął, czytujemy celem zaspokojenia apetytu regularnie powtarzające się komunikaty działu aprowizacyjnego, że, ponieważ mąka nie nadeszła, nie może też być rozdzieloną, należy zatem wstrzymać się z bólami, choć ich nabawić to się można dopiero po zjedzeniu chleba, wypieczonego z niej w rzetelnych naszych piekarniach.

Że brak masła, mleka, jaj, sera i t. d., to także nie nowina, gdyż podobne niespodzianki robią nam krowy i kury stale przed każdemi świętami, chcąc nam dać w ten sposób do poznania, jak się je powinno szanować. Kura, to dziś list zastawny, a jajko kupon, na którego „zniesienie“ czeka codzień cała rodzina (naturalnie, kto ją ma... ale mam na myśli kurę, nie rodzinę!) A jaką minę robi kura po dopełnieniu tego urzędowego aktu!... Z jaką dumą patrzy na swego chlebodawcę, który jej chleba nie daje, bo go sam nie ma, zdaje się, że ma ochotę powiedzieć:

— Patrz!... Czy pojmujesz, ile masz mi do zawdzięczenia?... A cóż ja mam od ciebie? Jeśli mi dogadzasz, bym wytłuściała, to tylko dlatego, by później zbrodniczą ręką targnąć się na mnie, zjeść i dogodzić swemu podniebieniu!

I dlatego to zapewne owe kurki, które stale spacerują sobie po ulicy Stolarskiej, przyczyniając się w ten sposób do dodania miastu uroku, tak teraz zhardziały, że poprostu nie ustępują się z chodnika nawet radcom miasta. Ja im schodzę z szacunkiem z drogi, a właścicielowi ich zazdroszczę, bo takie trzy okazy, a tyle ich tam naliczyłem, to dziś majątek. Mając je można nawet córkę wydać za mąż. Jedna musi oddać szyję pod nóż, by było czem przyjąć godnie gości weselnych, druga stanowi posag panny młodej, trzecia ma pocieszać osieroconych rodziców w ich samotności. Panna na wydaniu, mająca dziś kurę i do tego nośną, może być pewną, że choćby była stara, brzydka, nieznośna (ona, nie kura!... Stara kura jaj nie niesie!), znajdzie całą moc kandydatów, oświadczających gotowość poprowadzenia do ołtarza...

Poza brakiem nabiału odczuwamy coraz bardziej brak mięsa. Choć właściwie źle się wyrażam, gdyż my go już nie odczuwamy, udało nam się bowiem dzięki owym c. k. postom odzwyczaić się powoli od mięsożerstwa, przemieniając się powoli w niewinnych baranków, skubiących sobie trawkę, a w jej braku trociny... Kto winien, że mięsa brak, dotąd nie stwierdzono urzędowo, rzeźnicy spędzają winę na rolników, rolnicy na rzeźników (kocioł garnkowi przygania!...), wszyscy razem narzekają na zarządzenie władz, nie pozwalających rzekomo (ale tylko „rzekomo!“) obdzierać bliźnich ze skóry i w tem strapieniu, jedni bydło a drudzy mięso wysyłają stale za granicę.

Że mięsa, zwłaszcza zaś wieprzowego, brak temu się nie dziwię, gdyż jest to zwykły objaw przedświąteczny. Zapasy giną nagle z widowni, aby się nagle pojawić ale dopiero wtedy, gdy magistrat ulituje się nad niedolą masarzy i podniesie ceny bodaj o sto procent.

Z Ameryki przyjechała jakaś tam słonina i smalec, ale łatwiej zaopatrzyć się w te artykuły w handlu paskarskim, niż legalną drogą. Amerykanie umieją ocenić wartość czasu, wiedział o tem zapewne i smalec i dlatego nie czekał, aż przejdzie długą drogę manipulacyi urzędowej.

Na temat tej domowej polityki, mającej taką ścisłą łączność z naszym żołądkiem, możnaby pisać i wiele i często, a jest się wtedy tak prawdziwie wielkopostnie usposobionym, jak gdyby się przeczytało najżałośniejsze psalmy pokutne lub rozmyślania. Niestety, choć się post wielki już kończy, wojna jakoś skończyć się nie chce, wobec czego nieraz jeszcze przyjdzie wrócić do tego tematu, który jest poprostu niewyczerpany.

Okręgowy Zjazd Sokolstwa w Krakowie.

Pod patronatem wielkiej rocznicy Kościuszkowskiej odbył się w Krakowie 23 marca pierwszy po wojnie sejmik Sokolstwa Okręgu I. Udział w nim wzięło 55 delegatów z 27 gniazd oraz delegaci Okręgu II., przybyli do Krakowa w rocznicę Kościuszkowskiej przysięgi.

Przewodniczący Zjazdu, prezes krakowskiego Sokoła Turski po powitaniu gości na tym pierwszym po wojnie i pierwszym w wolnej już Polsce „Sejmiku Sokolstwa“ gorącemi słowy uczcił pamięć poległych w bojach żołnierzy-sokołów, którzy pod Rokitną, na Pińskich błotach, w brygadzie karpackiej i teraz pod murami Lwowa walczyli za Polskę, a więc za ideę na sztandarze sokolim wypisaną.

Po wysłaniu telegramów do Naczelnika państwa i do prezydenta Paderewskiego z wyrażeniem hołdu i wiernej służby Sokolstwa dla majestatu Rzeczypospolitej, rozpoczęto obrady nad zadaniami i celem Sokolstwa w najbliższej dobie dziejowej. Na podstawie szczegółowego referatu, wygłoszonego przez wiceprezesa Kubalskiego, zebrani powzięli szereg uchwał mianowicie, postanowiono dążyć do jak najrychlejszego zjednoczenia organizacyi sokolej i utworzenia ze wszystkich trzech byłych zaborów Związku Sokolstwa polskiego z siedzibą w Warszawie.

Stwierdzono, że naczelnem zadaniem „Sokoła“ na przyszłość jest jak najszerzej pojęta sprawa wychowania fizycznego ze szczególnem uwzględnieniem wychowania fizycznego młodzieży.

„Sokół“ stojąc na stanowisku narodowym będzie nadto stale współdziałać w budowie państwowości polskiej, oraz przyczyniać się do zatarcia różnic dzielnicowych.

W toku obrad, które przeciągnęły się także i po południu, omawiano sprawę restytucyi gniazd, odszkodowania za zniszczenia budynków i przyrządów, następnie sprawę finansów Sokoła w byłych Legionach i tworzącej się armii polskiej, oraz uczczenie pamięci poległych przez zebranie w pierwszym rzędzie potrzebnej statystyki. Wkońcu odbyły się wybory do Wydziału Okręgu.

Wybrani zostali: prezesem Turski W. z Krakowa, I. wiceprezesem Zajączkowski W. z Oświęcimia, dalej Michalski St., Christ G., Dr. Rowiński St., Dr Ostrowski K. i Kubalski E. z Krakowa, Wodzinowski W. z Podgórza, Michnik J. z Bochni, Gołąmb M. z Wadowic, Boryczko J. z Myślenic, Dr Dobrzyński z Trzebini. Kunze z Kalwaryi i Dr Galicz z Cieszyna.

Wojsko polskie we Włoszech.

Zrazu głucha i niepokaźna wieść o tworzeniu pierwszych kadrów legionowych we Włoszech w miarę czasu poczęła rozbrzmiewać po całym kraju. Mniejsza o dyskusyę polityczną szeroko kolportowaną wszędzie, o idei legionów, jej politycznem przeznaczeniu. To było w kraju. Zagranica o tem nie chciała wiedzieć, bo to bolało tych, którzy po polsku czuli. Fakt pozostał faktem. Armię tworzono, polską armię. W chwili powstania Polski już na prawdę jako samoistnej jednostki politycznej ruch ten począł rozwijać się szybkim krokiem.

Na rozległą skalę pedniesiony przez Francyę, stawał się coraz głośniejszym we Włoszech.

Pierwszy pułk polski w sile 4000 ludzi jeszcze w grudniu ubiegłego roku stał gotowy do wymarszu przez Santa Maria Capua Vittore. Inne formują się w okolicy Medyolanu i Torynu. Przeszło 30 tysięcy ochotników, którzy uczestniczyli w ostatnich walkach, tuż przed rozwaleniem się w gruzy Austryi skoncentrowano w Brescii. Pierwszy pułk zdąża już do Polski, wsiędzie na statki w jednym z portów francuskich, by popłynąć w kierunku Gdańska, następne pułki udadzą się do Polski, maszerując prawdopodobnie przez Austryę. Pomoc rządu włoskiego w zorganizowaniu tego wojska znajduje żywe uznanie misyi Komitetu Narodowego Polskiego i delegacyi wojskowej polskiej, która wyraziła rządowi włoskiemu publiczne podziękowanie.



Uroczystości Kościuszkowskie w kraju: Obchód uroczysty w Nowym Sączu.

Żołnierz-bohater.

W tych dniach przybył do Warszawy pierwszy kuryer wojsk polskich na Syberyi, chorąży Feliks Robakiewicz. Łatwo sobie wyobrazić ogrom trudności, jakie musiał pokonywać w czasie przedzierania się przez bolszewicki front na Syberyi, co doskonale illustruje fakt, że ośmiowiorstwową przestrzeń, dzieląca jeden front od drugiego, przechodził od wczesnego ranka do późnego wieczora, przedzierając się przez gęsto podszyty las, brocząc w śniegu wyżej pasa, a często zapadając się całkowicie. Po uciążliwej podróży wśród 25 stopniowego mrozu, częścią w ciężarowych pociągach, częścią pieszo, obchodząc większe miasta w celu uniknięcia poszukujących go władz bolszewickich, dostał się do Polski po sześciu tygodniach.

W czasie powrotu, w Ufie, przez którą mu droga wypadła, a gdzie przebywał w niewoli przez dwa lata z górą, poznany i aresztowany, dzięki tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i sprytowi uszedł cało.

Chorąży Robakiewicz pochodzi z Galicyi; służył w Legionie wschodnim, a następnie wzięty do austryackiego wojska, dostał się do niewoli rosyjskiej, ranny w r. 1916.

W czerwcu ubiegłego roku wstąpił do tworzącego się w Rosyi wojska polskiego. Kilka miesięcy był na froncie przeciw bolszewikom, dowodząc przez pięć tygodni zorganizowanym przez siebie oddziałem baszkirsko-tatarskim w sile 300 koni.



Żołnierz-bohater: Chorąży Feliks Robakiewicz w stroju sybirskim i po przemundurowaniu się w Warszawie.



Tragiczny zgon ś. p. A. Milskiego: Pogrzeb A. Milskiego z podobizną zmarłego. (Fot M. Münz)

Tragiczny zgon ś. p. A. Milskiego.

Przed kilku dniami zginął we Lwowie od pocisku ukraińskiego prezes Towarzystwa dziennikarzy polskich redaktor A. Milski. Śmierć nastąpiła w następujących okolicznościach: Na podwórze domu, w którym mieszkał, padł granat i eksplodował. S. p. Milski wyszedł, aby zobaczyć rozmiary szkód, wyrządzonych wybuchem. W tej chwili padł drugi

granat i uderzył ś. p. Milskiego w głowę, otwierając czaszkę. S p. Milski zmarł w półtorej godziny później nie odzyskawszy przytomności.

S p. Aleksander Milski należał do najpopularniejszych postaci stolicy kraju, a ruchliwa działalność jego w młodych latach, jako pracownika na polu dziennikarstwa, w późniejszych jako współwydawcy i redaktora „Dziennika Polskiego“, oraz popularnego „Śmigusa“, zapisała go w szeregu najruchliwszych postaci w dziennikarskim świecie Lwowa. Jako dziecko stolicy, zawód dziennikarski rozpoczął jeszcze na ławie uniwersyteckiej w roku 1885, jako współpracownik „Dziennika Polskiego“. Pracę jego, jako dziennikarza, cechowała niezwykła ruchliwość i sumienność. Po kilkunastu latach pracy jął się zajęć wydawniczych, nabywszy wspólnie z ś. p. Ostaszewskim Barańskim własność „Dziennika Polskiego“. Równocześnie niemal rozpoczął rzutką działalność, jako jeden z założycieli i organizatorów Towarzystwa dziennikarzy polskich. — W uznaniu swej niezmordowanej i ofiarnej pracy doczekał się po ustąpieniu w roku zeszłym redaktora Adama Krechowieckiego, godności prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich.

Jutro rano!

Wykładnikiem stosunku obywatela do narodu jest jego poczuwanie się do obowiązku współdziałania wszystkiemu, co dobro i szczęście ma na celu.

Dobro i szczęście narodu ma na celu rząd narodowy, powołany do tego, aby tworzył, budował i umacniał życie moralne i materyalne narodu. On jest tego życia sternikiem i każdy obywatel, który go darzy zaufaniem, winien mu posłuch, powolność i poparcie.

Na zawołanie rządu stawać musimy do apelu wszyscy nie w imię ofiary i poświęcenia, ale w imię prostego obowiązku.

Kto na zawołanie takie nie odpowiada, ten obowiązku swego nie spełnia i tem grzeszy przeciw Ojczyźnie, bo jest w niej, jak cudzoziemiec, który uważa, iż nie jego dotyczą troski i kłopoty kraju, w ktorym mieszka.

Cóż jest dzisiaj naszym najpierwszym obowiązkiem?

Zgodna, powszechna, nie znająca wyłączeń, odpowiedź na wezwanie rządu, który zwrócił się do wszystkich obywateli polskich o poparcie pierwszej Polskiej Pożyczki Państwowej.

Czy wszyscy już odpowiedzieli?

Nie. Jest jeszcze wśród nas wielu takich, którzy tego najpierwszego obowiązku swojego nie spełnili.

Jedni czynią to przez opieszałość, przez odkładanie z dnia na dzień już powziętego zamiaru. Inni przez karygodną obojętność, lub przez mniemanie, że nie do nich się odwoływano, bo są bogatsi i zamożniejsi od nich

I jedni i drudzy powinni zrozumieć, że ich sumienie polskie obciążone jest w tej chwili winą, że ciężar tej winy powinni zrzucić z siebie jaknajprędzej. Uczynić to łatwo. Zapisy na Pożyczkę przyjmowane są w każdym Banku i trzeba tylko jednego aktu woli, aby przed samym sobą i przed współobywatelami oczyścić się z zarzutów obojętności na sprawy Ojczyzny.

Zapiszcie sobie w notatniku: jutro, o godzinie 10 rano, w banku — i spełnijcie swój obowiązek.

Subskrybujmy polską pożyczkę państwową.

Do P. T. Czytelników.

Aby uniknąć reklamacyi i niepotrzebnej pisaniny, zwracamy uwagę P. T. Czytelników, nadsyłających rozwiązania zagadek, że prawo ubiegania się o wzięcie udziału w losowaniu nagród mają tylko ci, którzy:

1) W swoim czasie nadeślą trafne rozwiązanie **wszystkich** zagadek, zamieszczonych w odnośnym numerze naszego pisma, oraz

2) są prenumeratorami **Nowości Illustrowanych wprost w Centralnej Administracyi, Kraków XV. ul. Kazimierza Wielkiego 95,** lub też dołączą do rozwiązania tytułową stronicę odnośnego numeru.

Rozwiązania należy nadsyłać w należycie opłaconych listach pod adresem Redakcyi Nowości Illustrowanych (Dział zagadkowy), najdalej w ciągu tygodnia, następującego po ukazaniu się numeru.

Przy rozdziale nagród rozstrzyga losowanie.

* * *

P. T. Przyjaciół naszego pisma upraszamy o zasilanie naszego działu zagadek swemi cennemi pracami, za które jednak honoraryum autorskiego nie płacimy.

Rozwiązanie zagadek z Nru 13.

Łamigłówka literacka.

Mróz
Anhelli.
Tadeusz Bezimienny
Emisaryusz
Jelita.
Krzywda.
Ogień.
Jamioł.
Awantury arabskie.
Niewinny.

Zadanie do przestawienia.

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Logogryf.

E
r y ś
p e d a ł
i t z y k
k a p i t a n
i n k a u s t
m e d y t a c y e
t e r m o m e t r
O d r z y w o l s k i
S t a n i s ł a w
n o s a c i z n a
K a s z m i r
o k u l a r y
t r u s t
p e d e l
E w a
g i l
k.

Okienko.

M u r a t
u y u
r y g o r
a o y
t u r y n

Zadanie do przestawienia.

Na pochyle drzewo kozy skaczą.

Bilety wizytowe: Sztygar. Asesor. Biograf. Attache. Aeronauta.

Trafne rozwiązania nadesłali: Kowalski, Kraków, S. Mehl, Rzeszów, M. Zawadzka, Tarnów, H. Banke, Kraków, S. Olech, Przemyśl, J. Głowacki, Wadowice, W. Zakrzewska, Zakopane, J. Biliński, Kraków, K. Kosiński, Rzeszów, W. Borkowski, Brzesko, K. Gross, Kraków, J. Kubicki, Nowy Sącz, M. Ngibińska Kraków, M. Felner, Kraków, Z. Walkowski, Jarosław, K. Sommer, Rzeszów, S. Kalczyński, Jordanów, P. Nowakowski, Lublin, W. Zapała, Kraków, M. Górska, Bochnia, J. Wiktor, Rzeczyca, H. Dudek, Jasło, K. Raczyński, Kraków, W. Otadziński, Zakopane, A. Wilczek, Poronin, W. Krawczyński, Zakopane, J. Uiberall, Czyżyny, H. Morawiecki, Rzeszów, Z. Horowitz, Tarnów, G. Dankiewicz, Wieliczka, S. Zabawski, Kraków, J. Nowicki, Przemyśl, L. Himmelblau, Kraków, B. Kurz, Oświęcim, J. Marzec, Rzeszów, W. Potocka, Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała **p. W. Zakrzewska, Zakopane.**

Zagadki do nagrody.

Okienko.

Ułożył St. K. Jordanów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzące w kierunku pionowym i poziomym.

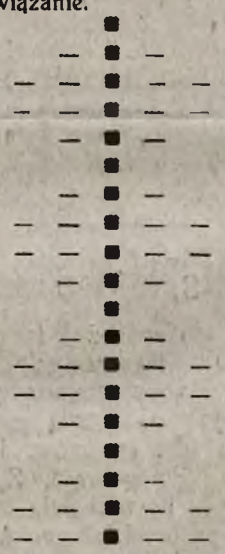
a a a a a
a d e
e j k k k
l l o
o o o r r

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Główny obecnie bolszewik. 3. Służący.

Logogryf.

Ułożył Franek „z pod Obrazu“.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda rozwiązanie.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Okres czasu. 3. Rodzaj poezyi. 4. Sprzęt domowy. 5. Rzeka w Niemczech. 6. Spółgłoska. 7. Przetwór z mleka. 8. Kraj w Afryce. 9. Zdrobniałe imię męskie. 10. Zwierzę drapieżne. 11. Samogłoska. 12. Rzeka na Śląsku. 13. Zwierzę domowe. 14. Złoty pieniądz. 15. Rzeka w południowej Rosyi. 16. Spółgłoska. 17. Miejsce, gdzie się naprawia okręty. 18. Miasto na Litwie. 19. Broń palna.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę trzy kilo białej mąki amerykańskiej.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St Lipińskiego. Odpow redaktor. M Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D E Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Matejskiego